

KUZZA

Bibl. Miejska
Lódź
Aniwersyjna 14

TYGODNIK SPOŁECZNO LITERACKI

Cena 7 zł.

„CAŁA HISTORIA JEST
JEDYNIĘ CIĄGLĄ
PRZEMIANĄ NATURY
LUDZKIEJ”. —

Karol Marks.

Rok 2

Łódź, 28 stycznia 1946 r.

Nr 3 (21)

MECZYŚLAW JASTRUN

„Rzecz ludzka” *)



Mieczysław Jastrun

Elegia

Ty nie słuchasz rozkazu! Wolna i plochliwa
Nie przychodzisz, gdy pragnę, choć noc jest tak czysta
I tak aicha, że samym westchnieniem porywa,
Ogromna noc wrześnieowa, na nowo gwiazdzista.
Jesteś podobna z twarzy do tej wiarołomnej,
Którą niegdyś kochałem gorzko i daremnie;
Wiem, że twój krok jest muzyką i wiem, że wonny
Obłok milczenia mego nie zmieni się we mnie
W kształt i dźwięk dotykalny, jak ramiona tamtej,
Jak pierś jej unosząca się w gniewie i żalu.
Na próżno wzrok wyleżam w białym świetle lampy
Elektrycznej i w blasku zimnego metalu.
Nie pójdziemy już miedzą, ani sianokosy
Nie uderzą nam w nozdrza młodością okrutną.
Nie wiem jaką dziś barwę mają twoje włosy,
Czy zwiędły? I już dzisiaj nawet mi nie smutno.

Spojrzenie w oczy

Gdy cię ostatni raz widziałem, we izach
Była twarz twoja, jak poryty kamień,
I była z deszczu i dymu spelzła
Zastona nad ruinami.

W oczach twych oczy niegdyś kochanej
ujrzałem,
Wielkie, przejrzyste i niewzajemne —
A potem noce, jasne od wystrzałów,
Od klęski ciemne.

O lata nieszczęść w Warszawie, szernia-
lej jak śmierci dworzec,
Skąd odjeżdżały skrzynie żelazne skozań-
ców,
Pustko domów, wmurowanych w grozę,
Ciszo okien, okutych w łańcuch.

Goryczy pełne usta, pusty dźwięk pochwa-
ły.

Wygnańcem byłem w ojczyźnie. A jednak
Nie zapomnę o nocach, które pociski wro-
ga rozrywały

Nade mną, nad tobą, o biedna!

Gdybym mógł kurz krwawych gościńców
zmyć
Z rąk twoich, nędzą i nieszczęściem
Stwardniałych, zanim wstaniesz nowa.
By żyć —

Od ciebie przecież mam tę stawa
Tak nieraz cieszy się twój syn,
Gdy z młodą narzeczoną pieścięciem
Zamieni w jakąś noc majową,
Kiedy słowiki spile szczęściem
I księżyc kładzie się podkowną
Na niskim progu twym.

Maj — 1944.

Pierwsza wiosna

Skopane role, drzew ruiny,
Zdziczała pustką gwiazde wiatr
Człowieka tyle — ile gliny
Rozdartej aż do nagich skal.

Nie każdy uszedł z duszą. Z życiem
Kto uszedł, jest jak sucha kość,
Z której narodził się już mściciel,
Co jedno wie, że musi dojść.

A kto jak z miasta z serca wyszedł,
Nie wróci już do domu. My
Uczyliśmy się jak krew pisze
I że tej krwi nie można zmyć.

Uczyliśmy się praw historii
Na własnych ciałach. Minie wiek —
A czerpać będą z naszych rzeź
I żywici z naszej ziemi ornej.

Gdy przesuwają się granice
Zagonów, niezasiłanych pól,
Kiedy w zburzonych miast ulice,
Gdzie jeszcze dzwoni świergot kul,

Wracają do swych gniazd, na zgliszczu,
W łachmanach, w maskach kurzu, kłną —
Gdy wiatr w kominie czatnym świszczu
I drzy pociskiem ścięty kłn;

Gdy grudka ziemi podlatuje
Skowronkiem, w puchu pierwszych traw,
Jak z martwych skal, rozdartych piugiem,
Wtedy dopiero — pierwsza iza;

Wtedy w ich rysach skrzepłych, twardych,
Które jak kamień bruku znasz,
W nawyktych do milczenia wargach
Poznaję Polski nową twarz.

Pogruchotanych murów Woli
Bronili, kule biorąc w pierś,
I wiedzą dziś, jak rana boli
I jak niewole — znają śmierć.

I gorzko pachnie pierwsza wiosna
Gdy szumiąc biegnie zimny deszcz
I ignie do błysków na zaroślach
I do zieleni rudych wierzb.

1945.

Rozstanie

Jaś przed laty w parku starym
Będiesz szedł zmierzchem zamyślony,
Tulał gdzie niegdyś brzęk gitary
Poruszał dęby i jesiony,
Gdzie park podnosił swe konary
Zaledwie z cizy wychylony
W tym krajobrazie Ruysdaela
Gdzie zmrok wieczorny onieśmiela.

Co mi z tych wzruszeń pozostało
Czy tylko promień gwiazdy przyszłej?
Wielekroć odmieniłem ciało,
Wielekroć odmieniłem myśli,
A jednak, wciąż ten sam, zuchwałą
Młodości siłę czuję w sobie,
Jakby to wszystko co się stało
Spełniło się na innym globie.

Zmieszałem rysy twojej twarzy
Z rysami tylu innych dziewcząt,
Rozkosz, o której inny marzy,
Dla mnie nie będzie więcej pierwszą.
Jakaż się tajemnicą żarzy
Ten mrok, co na mnie bije zewsząd.
Kto ogień mój roztrwonil w rękę
W kapiące złotem krople dźwięku?

W ruchomych blaskach reflektorów
Cień mój odrywa się i żyje,
Lecz to nie dawnych cień wieczorów
Nie warg, co ze źródła pije
Miłowania, które jest niczyje;
Innych mi trzeba dziś napojów —
Z przeszłości głosu nie wywołuj.
Odjeżdżam stąd. Jak serce bije!
1945.

Dokąd i w jaką stronę
Idę, przemijam, płynę?
I słucham, jak przez zasłonę,
Głosów, co rosną w chór świata,
I w jedną życia godzinę.
I słucham wielkiego ich łkania
Gdy opadają przebrania,
Gdy stygną łańdy na latach,

Jak pokolenia przechodzą,
Stopy stawiają i domy,
Jak zapadają, jak wschodzą;
Iskry, zjawiska, fantomy.

I cały blask ich istnienia,
Kształt ręki, biodra i gniewu
Chmura gradowa spowija,
Ta chmura, w której przemijam,
Ta, co mnie zrzuci ulewą
Trwoniąc w ogromnych przestrzeniach.
1938.

Na Zgliszczach

Czytam, w popiołach mnych ludzkich praw
Prawo nieludzkie, w mroków potędze
Zmartwychwstające z stepowych traw.

I cóż, że runą państwa tej pory
Puste jak wnętrza przejezdnych bram,
Jeśli zabłysną jeszcze topory
Bym wciąż umierał obcy i sam.

Jaką wypomną hańbę domową
Jaki przekleństwem zaciemnia dźwięk,
Jakiej obelgi wyrzucę słowo,
Potwarz z zaciętych zwierzęco szczęk?

Jakiego ludu zażąda twarzy
Przyszłość? i czyja bezdomna krew
Spłynie w płytami starych cmentarzy
Wybrukowany uliczny ściek?

Mądrością wnuków tuczyć nadzieję?
Lecz pokolenia nie są jak ciąg
Liczb doskonałych; gorzkie są dzieje,
Na nowo uczą się nóg i rąk.

Jak dzieci uczą się składać słowa,
A w nienawiści starsze od skal,
W ich kruchych dłońiach kamień grobowy.
Waży nie więcej niż cień ich ciał.
1943.

W śniezycy

Znów jeden dzień, dzień wykradzony
Zagładzie szalejącej,
Pomroce podziemnego domu,
Każdej powietrza cząstce.

Uschniętych liści lot, żądźbla słomy,
Zrywa się śnieżna burza,
I niedopowiedziany domysł
Jak wieczór się wynurza.

Podziemna cisza twym węzłowiec.
Nie słyszysz moich kroków
Na piętrze, gdzie jak szczyt lodowy
Lśni elektryczny pokój.

Tu niegdyś w twoich włosów wiosnie
Ptak żywy się zaplątał,
I jeszcze dziś od snu nie głośnieją
Odzywa się po kłach.

I dzień obraca cztery głowy
Oczami bez źrenicy
I rozsypuje się widmowy
W ciemności i śniezycy.
1942.

Więzień godzin

Świadomość — ta najwięcej
Boli i ogranicza.
To są zgąsłe oblicza
Widzeń i snów ręce.

Gdzie dno, o które wczoraj
Sizaskala się kotwica?
Naga jak noc źrenica
Obrasta wspomnień kora.

Przez szczeliny boleśnie
Wdziera się dzień i zamęt,
Wieloznaczny jak we śnie,
Oświetlony burzami.

Tu, gdzie okno wynajął
Pód niebem wysokim
Zgrzył posepny tramwajów
Jazgot jezdní, błysk okien.

Ja, smutny więzień godzin,
Jeniec stu ścian, słyszę
Osypujący się w ciszę
Gruz w śmierci grodzie.

Myśl moja, jak meduza,
Wyjęta z morskiej wody,
Traci ciężę — i w gruzach
Powietrza schnie jak z głodu.

Niebo kradnie mi oczy,
Nawet cień mój zaciera,
Ale bronie się nocy,
Nie chce w mroku umierać!

1943.

Dwa deszcze

W tym samym oknie,
Lecz o sto mil stąd,
Tak samo zdrabniał imię powietrza,
lodygi zielenią zapalał.
Biegnie deszcz mój dzisiejszy
na spotkanie tamtego deszczu,
Dwa deszcze, pozgonny i żywy,
krzyżują się w szklanych dalach
Słyszę szum ich spotkania,
słyszę powietrza morze
Piętnaście lat stąd
w tym samym oknie.
Deszcz jest dzieckiem w zieleni,
a starcem na murze.
Na dłoni spływają w jedną
dwie szczęścia kropłe.

*) Z tomu poezji, który ukaże się w najbliższym czasie nakł. S. Śluz. Wyd. „Książka”.

Nowe wydawnictwa dla dzieci

przystąpię do omawiania ostatnich wydawnictw dla dzieci, chciałabym kilka ogólnych zagadnień, dotyczących literatury dziecięcej.

Jeszcze wśród literatów pokutuje mocno już zwierzchni pogląd, że pisarstwo dla dzieci jest tylko rzemiosłem, niekiedy marginesem poetyckiej twórczości, jeżeli przyniesiemy, że rzemiosłem dostosowywanie poeji, czy efektów artystycznych do poziomu umysłu dziecięcego, będziemy stać na stanowisku, że upraszczamy fantazy, fonetyki i strofiki utworu nie jest pracą, nielecącą z godności, czy pisarza, wówczas należało by powiedzieć, że ten, kto podejmuje tak niegodny trud, nie może być „zaliczony w poczet poetów“. Czyż jednak tak jest na-

Dlatego też wiersz B. Brzezińskiego dzięki niezmaconej rytmice (jedynie odstępowanie, zresztą przyjemnie urozmaicające monotonię strofki na stronie 8... „zwykły, ot, poniedziałek“, gdzie następuje przesunięcie stałej średniówki na pozycję średniówki logicznej) jest dla dzieci łatwy do spamiętania, posiada tę muzykalność, która najlepiej wpada w ucho małowemu czytelnikowi. Z innych walorów omawianego utworu muszą podkreślić jeszcze żywioł akcji, która pozwala niemal każdą strofkę odpowiednio zilustrować. A jest to bardzo ważne, bo dziecko widzi obrazami i ilustracja posiada dla niego tyleż znaczenia, co i tekst. W związku z tym kilka słów o ilustracjach Olgi Siemaszkowej: Piękne w rysunku, nader estetyczne w kolorystyce i dynamiczne podnoszą ogromnie wartość całej książki. Bogactwo szczegółów przykuwa na nich uwagę dziecka.

Niestety, nie mogę powiedzieć tego o rysunkach Kazimierza Grusa w drugim wydawnictwie gwiazdkowym, pióra Marii Kownackiej pt. „O szewczyku Łukaszu, co szły buty dla ptaśków“. Rysunki te zbyt groteskowe i przestylizowane znaczenie mniej naddają się jako ilustracja książki dla dzieci.

Utwór Kownackiej przewyższa znacznie „Kaczkę, co kaszkę warzyła“ techniką artystyczną. Ale chociaż budowa rytmiczna utworu (trochę czterostopowy) jest jakby stworzona dla najmłodszych, treściowo należy go zakwalifikować przynajmniej dla 7-9 latków. Wiele słów, przestarzałych lub obcych powojennemu dziecku jak „kiemasz, acan, menuet, kolombina“ utrudnia mu samodzielne czytanie tekstu. Jest jeszcze jeden punkt, dotyczący utworu, jako całości, który należało by poważnie przedyskutować. Przed kilkunastu laty wytworzyła się maniera, że się tak wyrażę „wierszy rozłańczonych“. Łatwo sprezytować przyczynę tego zjawiska, gdy przypomnimy sobie, że cała praca rozwojowa dziecka, jeśli tak można się wyrazić, jego aktywność przejawia się w formie gry, skoków i rytmicznych płasów. Dlatego utwory, wprowadzające element tańca, jako uboczny motyw w jakiegokolwiek tematycznej całości, były przyjęte przychylnie przez krytykę. Ale w ostatnich latach przedwojennych namnożyło się tych „wierszy rozłańczonych“ bez liku. Tańczyło zgola wszystko: ludzkie, ptaki, zwierzęta, żywioły, przedmioty. Im mniej sensownej treści było w utworach, tym więcej tańca. Była to wyraźna ucieczka od konkretnej rzeczywistości. Dlatego i w „Szewczyku Łukaszu“ taniec jest sam w sobie celem? Nawet zakładając, że jest to fantastyczna bajka, (a nie myślę wcale odbierać dzieciom prawa do bajki, jak to ostatnio usiłują zrobić różni amatorzy-pedagodzy, przysiadając do literatury dziecięcej w pismach codziennych) trzeba pamiętać, że każda bajka musi zawierać jakąś zasadniczą ideę, którą dziecko doskonale umieją wyluskać z pozornie bajkowego wątku.

Pozostaje mi jeszcze omówić ostatni z kolei (gdź według mego mniemania przeznaczony dla dzieci starszych) poemat Jana Brzechwy pt. „Baśń o korsarzu Palemonie“. Jest to utwór dłuższy, liczący ponad 450 wierszy, a więc pomyślany już jako większa całość. I słusnie należało by od takiego poematu oczekiwać owej zasadniczej idei, o której wspominałam powyżej. Zresztą sam autor zaznacza dwukrotnie w utworze: „Choć to bajka nieprawdziwa — sens ukryty w bajce bywa“. Zastanawiam się zatem, jaki jest ów sens „Baśni o korsarzu“.

Nie będę tu mówić o artystycznej wartości utworu, gdyż doskonała technika wiersza Brzechwy i jego zaskakujące dowcipy słowne są wszystkim dobrze znane. Wprawdzie przeciw tym dowcipom można by było wytoczyć dzieło ciężkiego kalibru w osobie K. W. Zawadzkiego, który pisząc o wierszach Brzechwy, stwierdza, że ich „pyszne efekty komizmne np. w rymach i przeważna część błyskotliwej techniki ginie niedostępna percepcji małych czytelników“. Ale o tym pomówię obszerniej kiedy indziej, przechodząc tym razem bez dygresji do fabuły poematu. Znakomity pomysłu autora, zadziergający od samego początku intryge wokół bajkowej postaci korsarza, walka z zieloną mgłą, ze zjawą okrętu, który ma być rzekomo okrętem korsarskim, niezwykle rozwiązanie tej intrygi — wszystko to stwarza nastrój romantyczny (choć na wesoło, a i to jest jednym z jego uroków). Niestety fascynujący tajemniczością poemat kończy się akcentem zbyt już „subtelnej“, nie nadającej się dla dzieci groteski. Czterech królów lewiczów i cztery królowy — to po prostu figurki z talii kart, które zapewne na chwilę przed pisaniem zakończenia Palemona autor miał w ręku i jeszcze w nastroju gry, po linii najmniejszego oporu, wciążył w fabułę poematu.

Sądę, że niejako dziecko, oczarowane romantycznym, poetyckim nastrojem tego utworu przeżyło gorzkie rozczarowanie, doczytując ostatnie stronicie. Tym bardziej, że odcyfrowawszy ukryty sens bajki, że tylko odwaga i czynna postawa wobec zjawisk życiowych pozwala osiągnąć upragniony cel, dziecko pragnęłoby zachować w pamięci nie karciane figurki, ale żywych, urealnionych pomimo całej fantastyki bohaterów.

Ilustracje J. M. Szancera, świetnie utrzymane w stylu awanturki groteski, bardzo zabawne, wyborne harmonizują z tekstem i dopełniają go mnóstwem szczegółów, jak np. rysunki do uczy na str. 15.

Książka o Oświęcimiu

Nie jest to, zapewne, dziełem zwykle go przypadku, że wspomnienia Szmaglewskiej z kaźni Oświęcimia rozrosły się do objętości 300-stronicowego tomu¹⁾, który stanowi bodajże „najgrubszą“ pozycję wśród naszych dotychczasowych wydawnictw powojennych. Można by — nie bez obiektywnej słuszności — upatrywać w tym fakcie symbol ogromu wkładu, wniesionego przez rzeczywistość obozów koncentracyjnych do historii długiej „nocy okupacyjnej“.

We wstępie do książki zapewnia autorka, że podaje w niej fakty jedynie „bezpośrednio zaobserwowane albo przeżyte“, i że wszystko co pisze gotowa jest udowodnić przed każdym trybunałem. I bez tych zapewnień nie moglibyśmy nie wierzyć w jej prawdę oczywistą; przekonywa o niej szczegółowość i dokładność opisu, przekonywa drobniogowy i bezwzględny realizm przedstawionych zdarzeń, dokumentujący każdym niemal zdaniem niewątpliwą autentyczność. W tym wypadku mamy do czynienia nie z garścią przygodnych obozowych wrażeń, dość często dziś drukowanych i nie lży zbiór jakichś kartek z pamiętnika wieźniarki leży przed nami. Książka Szmaglewskiej — to obszerny i wszechstronny akt oskarżycielski, wołający krzykiem ludzkiego cierpienia i sprawiedliwości o sadościuczynienie, to wstrząsająca siłą bezpośredniość głosu przestrogi przed tym, co nie może się powtórzyć już nigdy.

Niemieccy oprawcy mordowali celowo i metodycznie nie tylko ciało, ale i dusze ludzkie. W rejestrze tortur, zadawanych ofiarom najokrutniejsze były te, które ponieważły godność ludzka, odzierały człowieka z moralnych cech człowieczeństwa, groziły śmiercią duszy, zanim ciało pochłonął piec krematoryjny. Nie łatwo było się bronić przed zmniejszeniem i spodłaniem, mogącym nie raz stać się ceną chwilowych ulg i ułatwień. Pałaca tęsknota za wolnością dręcząca straszniej, niż głód, chłód, bydleca praca i kija. By nie oszaleć od tej tęsknoty, by zgłuszyć świadomość innego życia — życia poza obozowymi drutami — „pulsującego dokoła w przyrodzie“, trzeba było „z coraz większym trudem wliczać się w sztuczne formy lagrowej egzystencji, lepiej wrosnąć w obóz jak kamień, nie mogąc ruszyć się z miejsca...“

Szmaglewska prowadzi nas poprzez wszystkie kęgi piekła, które się zwała obozem Oświęcim-Birkenau. Nie oszczędza nam obrazu żadnego przeżycia, żadnej męczarni, żadnej zbrodni spośród stanowiących treść obozowego bytu. „Praca“ w polu i wewnątrz obozu, apele zwykłe i generalne, kapele i odwziania kobiet pod okiem rozbestwionych esenmanów, epidemie i egzekucje, drobne spiski i konspiracje więzienne, „organizowanie“ czyli kradzież żywności, odzieży i opsu z zasobów niemieckich, ucieczki i „selekcje“ — wszystko to jak na taśmie nieskończenie długiego, koszmarnego filmu, przesuwa się przed oczyma czytelnika, zamknięte w rozległej ramy lat 1942 — 1945, aż do chwili likwidacji obozu i późniejszego wymarszu ostatnich 20 tysięcy więźniów na Zachód, do kresu cierpienia i tułaczki.

Jakież niedzne i upokarzające było to trwanie w obozie, gdzie — rzykując najsurowsze kary — wypadało zdobywać łechą wody do mycia i prania, gdzie chorty na tyfus dziesiątkami konali bez pomocy pod ścianami baraków, gdzie ostródkiem życia społecznego i towarzyskiego, stał się „klozet“, bo tu można było „usiąść na chwilę i swobodnie porozmawiać...“ Gdzie indziej — w warunkach obozowych — tej „swobody“ nie było, dostępu do wszystkiego, co mogło by być swobodą cieniem i wspomnieniem bronił moczny mur onracoów i katowskich pachołków, a jedno słowo któregoś z nich decydowało o losie ofiary. Decydowało o losie ofiary. Decydowało bezapelacyjnie, — a dymy nad krematoriami Birkenau świadczyły nieprzerwanie o spełnianiu się zapadłych wyroków.

Pierwszą i gorącą reakcją uczuciową na półwornoci, opisywana przez Szmag-

Wszystkie omawiane książki stanowią pożyteczny wkład do szcuplego obecnie dorobku literatury dla dzieci i należy to poczytać za zasługę Sp. Wyd. „Czytelnik“, że je wydała. Każdy z tych tomików stoi niewątpliwie na dobrym artystycznym poziomie. Szkoda tylko, że wśród tych wydawnictw nie znalazł się żaden utwór o bardziej społecznym nastawieniu, a przede wszystkim bardziej związany z obecną rzeczywistością.

Dzisiaj, kiedy dzieci żyją w gromadzie: w sierocińcach, żłobkach, świetlicach i przedszkolach, byłby pożądany nowy typ literatury dziecięcej, bardziej dostosowany do recytacji zespołowej, powiedziałbym bardziej scenicznej. I to powinno być stać się zadaniem autorów, którzy zajmują się twórczością dla dzieci w pierwszych, powojennych latach.

Wanda Grodzieńska

lewską bez egzaltacji i superlatywów, jest uczucie nie litości dla krzywdzonych i męczonych, lecz — nienawiści dla ich katów, którzy — przestawszy być ludźmi — na miano bestyi też nie zasługują. Bo jakimże słowem nazwać i określić monstra, które biją, kopią i nurlają w błąd bezbronne kobiety, wrzucają dzieci żywcem „by oszczędzać gaz“, do krematoryjnych pieców, a — dokonywując nocą, po pijanemu, śmiertelnych „selekcji“ — każą obozowej orkiestrze grać sentymentalne walce?.. Nie ma w języku zwykłych ludzi słów odpowiednich, by można z nich zbudować pojęcie o zbrodni niemieckiej, bo ta zbrodnia nie zna przykładu ani precedensu.

Autorka „Dymów nad Birkenau“ nie ogranicza się do suchego relacjonowania obozowej kroniki, do podawania nacji, lecz wymownych faktów. Przeciwnie, książka aż pęcznieje od lirycznych i refleksyjnych wstawek, od celnych miejscami spostrzeżeń i komentarzy. Jakże godnym uwagi jest np. stwierdzenie, że rekrutowani spośród więźniów tzw. fupki-cyjni, wyrządzili więźniom co najmniej tyle złego, ile wszyscy SS-mani razem wzięci, gdyż oni właśnie byli owym ślepym mieczem, zadającym każdy ledwo zamierzony przez SS-matów cios. „Albo — jak pouczające wnioski na temat tworzenia i różniczkowania się form zbiorowego bytu można wysnuć z obozowych opisów Szmaglewskiej: i tu, w tym więziennym mikrokosmosie, wśród osobliwych i tragicznie karykaturalnych warunków egzystencji, zachodzą przecież znane skądinąd procesy socjalne i gospodarcze, powstają odrębne — nieraz wrogie sobie — grupy, warstwy i zespoły, wytwarza się podział pracy, nie zawsze na sprawiedliwej podstawie oparty, ustala się wymiana usług, handel zamienny, instynkty chciwości, wyzysku, prosperowania — cudzym kosztem dochodzą do głosu. Jak gdyby kopia bytu i rozwoju normalnych, wolnych zbiorowości, która świadczy o potęgze czynników, kształtujących w dotychczasowym świecie ich społeczne oblicze.“

Samoograniczenie, właściwy wybór i dobór materiału — to cechy mistrza. Szmaglewska nie pretenduje do pisarskiego mistrzostwa, gdyby nie oświęcimskie dzieje, nie stałaby się, być może, autorką wielostronicowej książki. Więc też trudno się dziwić, że pisząc ją nie mogła się oprzeć natłokowi faktów i doznań, że nie poskapiła im myślowego i lirycznego komentarza. Stąd pewne rozwalkłości i powtarzania się, łatwo wybacalne w książce, o tak bogatej i niezwyklej substancji treściowej.

Wiemy dziś wraz z autorką, że przejmujące serca więźniów groza, krematoryjne dymy z Birkenau znaczyły nie tylko męczeństwo i zagładę milionów. Te smugi czarnego, duszącego dymu pisały zarazem wyrok niedowolalny na fundatorów diabelskiej fabryki, na ustrój, który ich wyhodował, na kłamstwa i fałsze, którymi świat karmił. Chodzi tylko o to, by sentencja wyroku została powszechnie zrozumiana, by nie zwlekało z jego wykonaniem, by — wreszcie — adwokatom nikczemności nie otwierano furtek do zastrzeżeń i apelacji.

Wanda Grodzieńska

¹⁾ Seweryna Szmaglewska: Dymy nad Birkenau. Warszawa, „Czytelnik“, 1945, str. 302 i 2 nl.

NIE DOŚĆ JEST CZYTAĆ „KUZNICĘ“ TRZEBA JĄ KUPOWAĆ I PRENUMEROWAĆ. ZAPRENUMEROWAĆ „KUZNICĘ“ MOŻNA W KAŻDYM URZĘDZIE POCZTOWYM. PRENUMERATA KWARTALNA Z PRZEŚLĄKĄ POCZTOWĄ WYNOŚI ZŁ 84.—

Rozmaitości

Troska o człowieka

Na wiosnę ubiegłego roku Ministerstwo Kultury i Sztuki przesało mi do przejrzania jako ówczesnemu sekretarzowi Tymczasowego Zarządu Związku Literatów zastanawiający dokument. Był to zwięzły projekt organizacji bibliotecznej na terenie wiejskim. Człowiek, który to pisał, doskonale orientował się w przemianach zachodzących na wsi, w ruchu organizacyjnym, w nowej roli czynnika społecznego. Ostatecznie nie brak w kraju ludzi obdarzonych zmysłem realności i nie to zastanawiało w tym najrozumniejszym dokumencie, jaki kiedykolwiek Związek Literatów otrzymał, ale co innego: podpis. Projekt organizacji bibliotecznej sporządził Aleksander Wat, emigrant wojenny, przebywający o kilka tysięcy kilometrów od kraju w Azji Środkowej, gdzie w okolicach Alula-Ata, więc o derywany od naszego życia, zasobny tylko w urnikowe oschle informacje. Przesyłając ten projekt, Aleksander Wat chciał udowodnić, że może się jeszcze przydać w kraju. Ten dowód może być potrzebny urzędnikom, ale zbyt tęgą dla kolegów literatów: na pierwszym posiedzeniu Tymczasowego Zarządu ZZLP w sierpniu 1944 w Lublinie Aleksander Wat był restytuowany w prawach członka Związku i jeszcze przed otrzymaniem tego dokumentu Związek wszczął sterania w Ministerstwie Kultury i Sztuki o sprowadzenie zabłąkanego kolegi do kraju.

Od tego czasu wiele się zmieniło, stosunek czynników rządowych do literatów i ludzi sztuki reguluje nie Ministerstwo, ale znany recytator i pieśniarz Henryk Ładosz, tak zwany popularnie „apiór warszawskiego ratusza”, który niedawno, jak domosty gazety, uprzednio przyjął powracającego do kraju Leona Schillera. Ministerstwo jest zajęte ważniejszymi sprawami, niż uregulowanie stanu prawnego majątków związkowych, niż pomoc w otrzymaniu przydziałów żywnościowych dla literatów. Ministerstwo ma duże trudności i odczuwa brak odpowiednich kadrowi urzędniczych, ale mimo to przeprowadza świadomą i konsekwentną politykę demokratyczną. Nie gdzie indziej jak w Ministerstwie Kultury i Sztuki kwestionuje się szczególną rolę społeczną zawodów artystycznych w tak prostym praktycznym wypadku, jak wymiar podatku dochodowego. W Ministerstwie operuje się globalnym pojęciem „wolnych zawodów”. A więc przeczytawszy uważnie ustawę o przyznaniu pracy, przekonamy się, że nie podlegają mu obywatele uprawiający wolny zawód, jeśli należą do od-

zycy zreszają się nie w labach, ale w swoich Związkach Zawodowych, więc nareszcie każdy miłojant będzie mógł tych nierobów zaciągnąć do uczciwej pracy. Takie są ostateczne konsekwencje prawdziwie demokracji politycznej, nie tych, na których opierało się lubelskie porozumienie między związkami artystycznymi a Ministerstwem Kultury i Sztuki. Innych pojęć, nie wyrażonych w żadnym manifestie, ale z dnia na dzień wcielanych w życie.

Ministrem i wiceministrem Kultury i Sztuki są dwaj członkowie Związku Literatów, Władysław Kowalski i Leon Kruczkowski. Jako ludzie pióra wiedzą doskonale, że o ministrach sądzi się nie według tego co piszą, ale według tego co robią i czego nie robią. Nikt nie ma zamiaru apelować do ich koleżeńskości w sprawie literata, który o kilka tysięcy kilometrów od kraju umiera na ciężką chorobę serca i zdycha z nostalgii, ale też nikt nie da sobie wulharować, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie może przyspieszyć powrotu Aleksandra Wata do kraju, bo natrafia na nieprzezwyciężone trudności. Musimy traktować tę sprawę na jej tle rzeczywistym, na tle takiego stosunku do sprawy i ludzi sztuki, który jest zaprzeczeniem porozumienia lubelskiego i pojęć prawdziwej demokracji. Za mało troski o konkretnego człowieka, przedstawiającego konkretną wartość społeczną.

Starano się o przyspieszenie sprawy, ale się nie wystarano. W konsekwencji wytworzyły się na rachunek naszego nasiada pozory nieprzezwyciężonych trudności. Znam trochę ten kraj — nie ma w nim nieprzezwyciężonych trudności, a szacunku dla ludzi sztuki nikogo tam uczuć nie trzeba. W lipcu 1944 roku, kiedy front zbliżył się do Wisły, w trakcie operacji wojennych marszałek Rokossowski wydał rozkaz do wojsk frontu, aby odszukano literata polskiego Jana Parandowskiego, który dostał się wraz z rodziną do strefy działań bojowych. I odszukano pana Jana i odstawiono go, zdumionego bardzo, samolotem do Lublina. Marszałek Rokossowski nie pisał, jaką ideologię wyznaje Jan Parandowski. Nam także nie idzie w tym wypadku o ideologię, ale o literata, człowieka wyjątkowej inteligencji, który, jak mi się wydaje, w podkładach swoich jest bardzo daleki od „Kuznicy” i wróci do kraju jako wyznawca ideologii katolickiej, jeśli wrócić zdąży...

Sprawa jest nagła.

ADAM WAŻYK

„Głupi Jakób” w Teatrze Kameralnym

„Rzecz dzieje się współcześnie w majątku szambelana” — tak napisano w programach. A właśnie z tą współczesnością cały kłopot. I z współczesnością samego „Głupiego Jakoba” Tadeusza Rittnera i inscenizacji w Teatrze Kameralnym domu żołnierza. Zacznijmy od samej sztuki. Rzecz dzieje się z początkiem wieku. Przemija okres drapieżnego demaskowania tyków miejskich przez naturalizm, wystawiania rachunków za krzywdy i znechania się nad podwójną moralnością. Świat zaczyna być nie dobry i tajemniczy, od góry do dołu: dusza ludzka nie zdolna do szczęścia. Zostają — jeszcze kontury dramatu realistycznego, ale to tylko efekty sceniczne, które służą już dla innego celu: gola ramą. — A więc Szambelan, skapieć i egoista, który odziedziczony majątek doprowadził do rozkwitu i dorobił się na starość grubszą forsy; biedni krewni na taskawym chlebie; Hania, córka praczą z dworu, wyedukowana przez państwo i wreszcie sam „Głupi Jakób”, syn właścicielki wesolego zajazdu i któregoś z jej licznych klientów. Majątek czeka na spadkobierców, biedni krewni są nieszcześliwi; Hania chciałaby mieć w nocny młodszego chłopca, a w dzień być panią. Szambelan pragnie się wysumieć na starość, a głupi Jakób niepokoiki się, kto był jego ojcem.

Dramat balzakowski? nie podobnol. Nie ma żadnego dramatu. Wszystko układa się jak na najlepszym ze światów. — Biedni krewni żrą ciasto na śniadanie, a wieczorem chleją wino, Hania przespia się z Jakobem i krećci starym szambelanem jak jej się żywnie podoba, Jakób dowiaduje się, kto je ojcem i po cichu romansuje z Hanią. Wszyscy mają co chcą. Tymczasem okazuje się, że wcale tego nie chcą i że w ogóle nie bardzo wiadomo czego chcą. Biednym krewnym nie zależy na białej bułce do kawy, ale na przyzywaniu ibsenowskich nastrojów i dania fol-dze miotomani, Szambelan chciałby za swoje pieniądze otrzymać bezinteresowną miłość, a głupi Jakób... Z nim jest największe zamartwienie. Jest szlachetny, uczciwy i namiętny, nie zdolny do fałszu, nie chce podać się za syna szambelana, nie chce dziedziczyć razem z Hanią uciec, gdzie oczy poniosą. Za oknem jest lato, pachną grusze, jablonie i śliwy. Ludzie nie czują głosów przyrody, nie rozumieją szczęścia, do jakich zdolne są pierwotne natury...

Dramat Jakoba nas nie wzrusza. W jego bezinteresowność nie wierzymy. Po co u diabła tak harował na szambelana? I nie musi swojej krzepy chłopskiej objawiać przewracaniem krzesel. Nikogo nam w tej sztuce nie żal. I nie bardzo rozumiemy, dlaczego postacie upierają się aby komplikować sprawę proste. — Ale dramatyzowanie codzienności, nastroje głębokie i niepokoje — to były właśnie charakterystyczne cechy epoki i dramatu Rittnera, Ibsen napisany na kanwie Zapolskiej. Naprzód była kompromitacja tyka potem jego niezwykłość. Okazało się, że Dulscy mają „nagą duszę” i są wrażliwi na przyrodę.

Reżyser Michał Melina, zdawał sobie sprawę z naszej obojętności na troski i neurasteniczne nastroje. Postanowił wobec tego za-trzeć Ibsena w Rittnerze i wydobyć jeżeli już nie Zapolską, to choćby Perzyńskiego. Wyrzucił to, została rama. Bardzo niebezpieczna operacja. Przeszło być wiadomo, kiedy sztuka się dzieje. Współcześnie? Przed tą wojną? Przed tamtą? Galeria przed-ków od sufitu do podłogi, pozwalała się domyślać jakieś rozparcelowanej resztołki. Potwierdzały te przypuszczenia suknie i marynarki do kolan, tudzież krzyki i wywracanie krzesel. „Pięć jak w karczynie — dobiegł mnie z tyłu jakiś głos — a mówią, że to szlachta. Czyste cygaństwo!” Młode kobiety sądziły, że rzecz dzieje się w przedhistorycznych czasach: pięciu mężczyzn uganian się za jedną dziewczyną. Ostatecznie rachunek za kilkanaście śniadań z wódką opiewający na 25 zł, przekonał wszystkich, że rzecz nie dzieje się obecnie.

Brak zdecydowania w wyborze epoki odbił się przede wszystkim na grze aktorów. Każdy grał rolę z innej sztuki i innego autora. Niektórzy robili to nawet świetnie. Dra-czewska, zdecydowanie zresztą najlepsza, w epizodycznej roli stworzyła żywcem wziętą postać z komedii Zapolskiej. Sempolński z wielkim wdziękiem grał Perzyńskiego. Relski przyszedł wprost z „Syreny”, zamie-rzał pewno wystąpić w „Pleciach” Jurandota Kaniewska bardzo stylowo pokazała nam Maeterijka. Żal nam było Bielickiej, uro-

czej i zdolnej, że musiała uwodzić Szambelana. Duszyński w roli tytułowej był namiętny jak młodzi pisarze chłopscy „Wsi”. Chronicki i Norwotówna w onie grał Największą sztuką dokazał Melina w roli Szambelana. Był Cześnikiem „Zemsty”. Poza tym przypominał „Dniań Polską”, który jak wiadomo tłumym kkiem podkreśla co trzecie słowo bez względnego znaczenia. Oczy jak robaki; chod mu w twarzy.

Po tych mitych uwagach, już bez żaru należy podkreślić, że wobec braku nowego repertuaru, nie jest łatwe zadanie wspólnego teatru kameralnego. Linia repertuaru jest ambitna, ale pamiętajmy, co powiedział mądry Stendhal: „Jak piękna brzoskwinia psuje się w kilka dni, dowiec psuje się dwieście lat, i o wiele szybciej, jeśli ją przewrót w stosunkach między klasami i społeczeństwem, w rozdziałe władzy społeczeństwa”. Kameralne komedie stan się szybciej, niż przypuszczamy. Toteż a rzy wkładają wiele rzetelnej, ale bezowocnej pracy, o ile koncepcja reżyserska nie odna sztuki. Lepiej w każdym razie wystawiać sztukę kameralną niż przypadkowo dobre muzyczne komedie, o których się przypuszcza, że bardziej nadają dla „mas”.

Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć „Głupiego Jakoba” w odważnej inscenizacji, aby zdecydowała się na przykładzie tej s pokazać i skompromitować styl epoki, secesji.

Jan Ka

Dialektyka miłosierdzia *)

Jeśli żebrak wyciąga do mnie rękę po jałmużnę, a ja mu ją daję, to jest — z mojej strony — akt miłosierdzia, na który on niczym nie zasłużył. Żebrak nie ma prawa żądać ode mnie pieniędzy, apeluje jedynie do mojego dobrego serca.

Mozna wyróżnić wśród ludzi osoby mniej albo bardziej wrażliwe na cudze niedole: miłosierdzie tej drugiej kategorii powinno być zapewne jakieś lepsze, doskonalsze, głębsze, obejmujące szerszy zakres biedy i skwapliwsze w niesieniu pomocy. Halina Górska jest właśnie doskonałym egzemplarzem tego gatunku „serc nienasyconych”: a jej przykład może posłużyć do tego, aby ujrzeć jasno, jak zmienia się ludzkie miłosierdzie, jeśli ma być naprawdę pełne i konsekwentne. Krótkie, szesnastostronicowe wspomnienie H. Boguszewskiej ma — poza spełnieniem swego zasadniczego zadania, którym jest zwrócenie uwagi na te tak bardzo godną pamięci postacie i poza czysto literackimi walorami, każącymi postawić tę pracę wyżej od wielu innych wydawnictw tego typu — te wielką zaletę, że pozwala jasnzej niż kiedykolwiek rozstrzeżać się w tym, co nazwać by można „dialektyką miłosierdzia”. Samo „Wspomnienie” nie mówi o tej dialektyce ani słowami, ale wymowa wszystkich faktów, składających się na dzieło Haliny Górskiej, jest pod tym względem tak wyraźna, że nie wiem — chyba tylko bardzo niewrażliwy czytelnik mógłby jej nie dostrzec lub nie zrozumieć.

Zacznijmy jeszcze raz od początku: żebrak nie ma prawa żądać jałmużny, ale lihościwie czyież ręce dała mu ja. Człowiek naprawdę lihościwy nie porzyszcza jednak na okolicznościowym obdarowywaniu tych biedaków, którzy przypadkiem nasunają mu się przed oczy: sam będzie wyszukiwać wszelaką krzywdę, aby tym skuteczniej jej zapobiec. Czasem robi się z tego w końcu wielka akcja charytatywna — zbiórki, składki, pieniądze i paczki... A nieda ludzka, która jest większa niż ludzkie miłosierdzie, polknie wszystko łaskom i będzie trwać dalei.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

L. Gol. Poznań. W waszych wierszach są zadatki i obietnice. Jeszcze nie do druku, musicie jeszcze długo i cierpliwie pracować.
A. Sob. Gdańsk. Oliwa. Wiersz bez wyrazu.
A. Tom. Nie do druku.
W. Swieck. Lublin. Powinności pisać raczej prozą.
W. Bl. Lublin. Slabe.

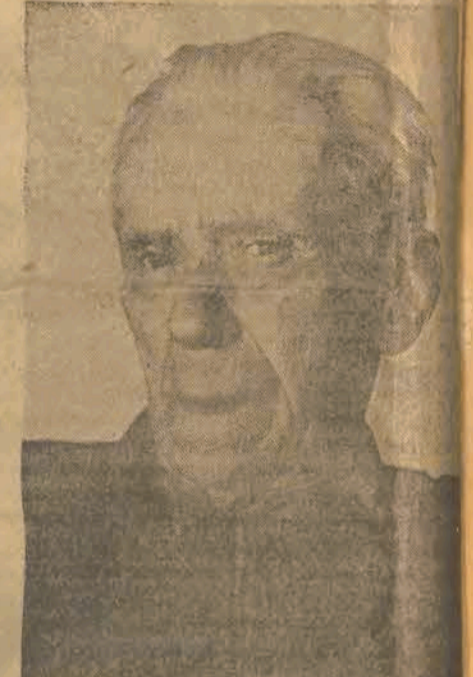
To jest Górska z pierwszych swoich książek i z swojej akcji „Blekitnych”, zaczętej w lwowskim radio i rozszerzającej się daleko poza nie. Akcja ta wzbudziła niechęć tych wszystkich, którzy chcieli by zakonserwować istniejący wtedy w Polsce ład: bo oni od razu zrozumieli, że przy radykalizmie, narazie nie tyle społecznym, co charytatywnym, Halina Górskiej, to nie może skończyć się tym, czym było w pierwszej swojej fazie: opieką nad biednymi dziećmi. Każde konsekwentne i uczciwe miłosierdzie musi bowiem przerodzić się w bunt i protest przeciw samemu sobie, w żądanie, aby na świecie zaprowadzić taki porządek, w którym dobroczynność poszczególnych jednostek, nigdy nie mogąc nastarczyć potrzebom, zastąpiona zostanie przez społeczna sprawiedliwość. Trzeci jest ta konieczna ewolucja miłosierdzia: ewolucja — każdy przysna — bardzo dialektyczna.

Istotnie — Halina Górska swych lat dojrzałych, to działaczka społeczna i pisarka o zdeklarowanych poglądach politycznych. Moutujacy się wtedy i wszędzie zwalczany jednolity front polskiego proletariatu, to była dla wszystkich jego zwolenników zupełnie „inna sprawa, niż zwycięski, jednolity front doby obecnej. Szykanowane, konfiskowane, gniebione „Sygnały” odczuły to najlepiej na własnej skórze. Akademicki, jednolitefrontowy ZNMS, w którym zawsze kilku kolegów musiało „siedzieć”, doznał tego również; Halina Górska była w zespole „Sygnałów”, pracowała blisko z ZNMS-em, brała udział w sławnym (a podówczas osławionym) Zjeździe Pracowników Kultury, maszerowała w obruchanych petardami pierwszomajowych pochodach... Jak daleko odbiegliśmy tutaj od nieco mdłego sentymentalizmu tej pierwszych „charytatywnych” początków.

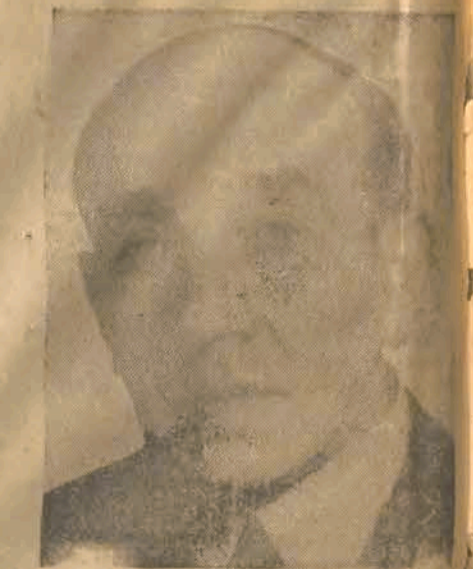
Dobrze zrobiła „Książka”, wydając to „Wspomnienie o Halinie Górskiej”: w dalszych — tak już odległych od tamtych — czasach ma ono sens podwójny: przypomina nam kogoś bardzo drogiego, a równocześnie uczy inaczej patrzeć na zmiany, które dokonywały się w okresie, dzielącym nas od tamtych czasów.

Edward Csato

*) Helena Boguszewska: „Wspomnienie o Halinie Górskiej”. „Książka” — 1945



Ludwik Solski
obchodził 70-lecie pracy aktorskiej.



Leon Szyller
wybitny reżyser powrócił do kraju

W poprzednim numerze „Kuznicy z dnia 21 stycznia 1946 r.: Adoli Rudnik — Kłeska. Adam Szafl — Materiał walczący. Seweryn Pollak — Godziński. Rozmaitości — Refleksje — schodach — Adam Ważyk. Komedia — randota w „Syrenie” — Seweryn Pollak. „Kuznica” zagranicą — ph. Z prasy polskiej w Stanach Zjednoczonych — ph. Nowe poezje — Ryszard Matuszewski. Nowy Przegląd prasy — ph.

PRZEGLĄD PRASY

ZESPÓŁ „KUŹNICY”

Połączenie na łamach jednego pisma problemów sztuki i nauk nie zawsze się udaje. Jednakże pierwszy numer miesięcznika „Nauka i Sztuka” dawał pewne nadzieje na możliwość tego rodzaju połączenia. Pamiętamy do skonały, przedwojenny „Przegląd Współczesny” i przypuszczaliśmy, że „Nauka i Sztuka” okaże się pismem równie interesującym. Istotnie pismo, które by zespalało w pewnym sensie prace naukowców i pisarzy jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Tym bardziej, że toczona na łamach tygodnika dyskusja na tematy literackie wymagałaby opracowania bardziej fundamentalnego i bardziej naukowego.

Wydawać by się mogło, że pismo takie jak „Nauka i Sztuka” powinno w dziale literackim zabiegać właśnie o artykuły, które by były trwałym i głębszym opracowaniem toczonych sporów. Dyskusje bowiem rozwijające się na łamach tygodników prawie zawsze są niezakończona i z natury rzeczy zatracają się w materiale bieżącym, który stanowi istotną treść tygodników. Njestety, w dziale literackim nowy zeszyt (2/3) „Nauki i Sztuki” nie przynosi niczego, co miało by jakąkolwiek styczność z pasjonującymi nas dziś zagadnieniami. Rola tej nie spełnia z pewnością „Kronika literacka” obejmująca luty — wrzesień 1945 roku, opracowana przez Jerzego Pelca. Nie spełnia jej zarówno ze względu na kronikarską formę, w której trudno jest głębiej analizować treść nurtujących życie literackie zagadnień, jak i ze względu na to, że kronikarz bynajmniej nie jest bezstronny w tym co pisze. Daje się to odczuć zwłaszcza wtedy, gdy autor kroniki omawia działalność „Odrodzenia”, które operuje zamkniętą listą haseł autorskich, gdyż redakcja jego stanowi koło raczej ekskluzywne. Zaraz po tej niewiele mającej wspólnego z rzeczywistością uwadze, gdyż jak wiemy, tygodnik krakowski jest pismem korzystającym ze współpracy prawie wszystkich pisarzy polskich, następują dalszy pod adresem „Tygodnika Powszechnego”.

Pochwałę kronikarza uzyskało również eklektyczne „Życie Literackie”, określone jako „najwykwintniejszy” tygodnik poznański. Wydaje się nam, że „wykwintność” nie jest cechą najbardziej istotną tego pisma.

Zawiedzeni kroniką sięgamy do przeglądu teatralnego pióra K. Koźniewskiego, gdzie czytamy, że „Wesele”... swe wielkie powodzenie zawdzięcza tym razem koniunkturze chwili i Wyspiańskiemu”. Sprawozdawca kwestionuje repertuar teatrów polskich, sztuki realistyczne (Zapolska, Perzyński) nie znajdują uznania w jego oczach, natomiast „Przeprowadzka” Rostworowskiego „była przykładem sztuki trafnej i ze względów artystycznych i ideowych wybranej”.

Tyle o dziale sprawozdawczym „Nauki i Sztuki”. Przechodząc do omówienia treści pozostałego materiału, należy zwrócić uwagę na przekład z poezji rosyjskiej Artura Chojackiego. Zenująca jest zwłaszcza lektura przekładu wstępu do „Ruslana i Ludmiły” Puszkina gdzie znajdujemy takie passusy: „Tam królowica mimochodem staje się jęczącym groźnym car...”, „Tam w wieży się królowa nuży...” itp. Doskonale, pełen anegdota o uczonych i pisarzach, którzy byli związani w początkach

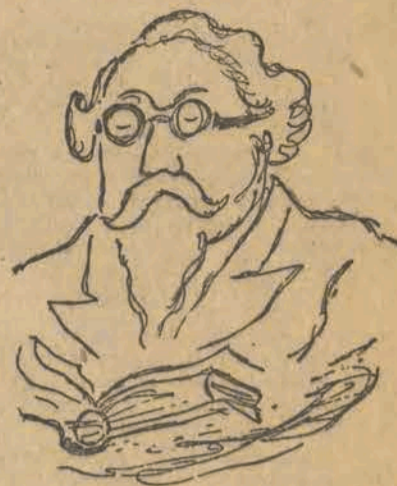
XX wieku z Ossolineum szkic pt. „W murach starej biblioteki” zamieszcza Stanisław Lempiński.

Warszawski „Lewy Tor” (nr 3) pomija całkowiłym milczeniem bieżące sprawy literackie. Nie znajdujemy tu ani sprawozdań ani kronik ani recenzji z wydawnictw, które przebieg w grudniu 1945 były dość obfite. Brak materiału sprawozdawczego w miesięczniku uznać należy za poważne uchybienie ze strony redakcji. Natomiast „Lewy Tor” przynosi bogaty materiał z zakresu publicystyki społeczno-politycznej. „O jednolitym froncie ruchu zawodowego” pisze J. Cyrankiewicz. Dzieje przelotu jaki nastąpił w PPS po wrześnie omawia w artykule „Od starej do nowej PPS” Stefan Matuszewski. Autor podkreśla tendencje rewjzjonistyczne w stosunku do linii i taktyki politycznej, które zaznaczyły się wówczas we wszystkich politycznych partiach polskich. „O jednolitym froncie robotniczym we Francji” pisze Henryk Jabłoński. Artykuł poświęcony jest omówieniu stanowiska poszczególnych partii demokratycznych Francji wobec ogłoszonej przez rząd tymczasowy ankiety w sprawie konstytucji. Autor omawiając stosunek socjalistów francuskich do tego zagadnienia, podkreśla niejednolitość opinii „dół” partyjnych ze stanowiskiem kierownictwa. W dziale literackim notujemy prozę Zofii Nałkowskiej z cyklu „Medaliony” pt. „Przy torze kolejowym”.

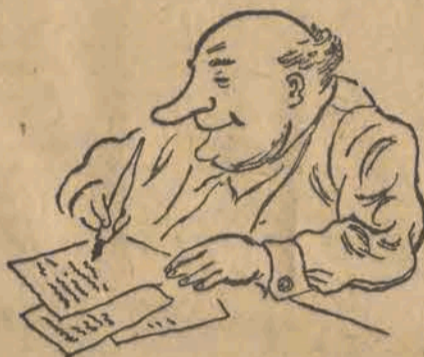
W „Tygodniku Powszechnym” (nr 42) znajdujemy artykuł Kazimierza Koźniewskiego „Zagadnienie Filipa Petain’a”. Autor zastrzega się w przypisku: „Mój artykuł może wywołać zastrzeżenia ze strony czytelników, którzy gotowi mnie posądzić o obronę kollaboracjonistów. Było by to posądzenie bezpodstawne”. Autor po tym zastrzeżeniu stara się „sine ira et studio” przedstawić polityczną sytuację Francji po upadku oraz rolę Filipa Petain’a. Oczywiście, autor zgadza się z wyrokami, jaki zapadł na Petain’a. „Nie tylko godziło się go ukarać, lecz dobro narodu francuskiego wymagało, by Petain był ukarany”. Tak więc w tym miejscu oddaje autor Bogu co boskie... Dalej czytamy: „Petain był odpowiednim do zawarcia kapitulacji, ale był zupełnie niezdatnym do prowadzenia takiej gry politycznej, jakiej wymagała długotrwała kollaboracja. Mógł taką grę prowadzić tylko mąż stanu o bardzo tegiej głowie, dużym sprycie, wielkiej energii i odwadze cywilnej. „Te zdania, a zwłaszcza to drugie zdanie, w którym autor określa warunki potrzebne do „prowadzenia gry” każą nam stwierdzić, że wstępny przypisek autora nie rozwiewa naszych podejrzeń, co do intencji artykułu. Jeśli p. Koźniewski w ogóle dopuszcza możliwość kollaboracji, a tylko ma zastrzeżenia co do umiejętności starego marszałka, który „był do tego za stary i — jak mi się wydaje — zbyt naiwny”. Jeśli p. Koźniewski twierdzi, że „zagadnienie kollaboracjonizmu jest zagadnieniem złożonym. Głównie dlatego, iż w grę wchodzi dwie sprzeczne funkcje. Funkcja pozytywna i negatywna”, to z wielką przykrością musimy stwierdzić, że Redakcja „Tygodnika Powszechnego” wydawanego przez Kurję Xiążecko-Metropolitalną powinna się była powstrzymać od publikowania tego artykułu. Przynajmniej do wyborów!



Zofia Nałkowska



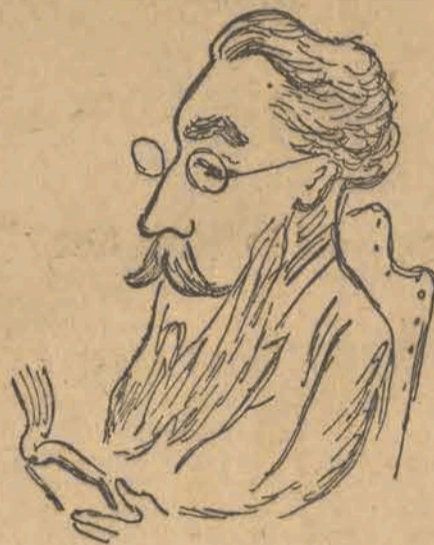
Paweł Hejda



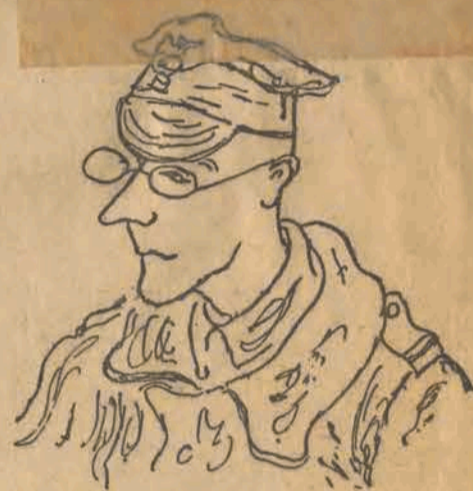
Jan Kott



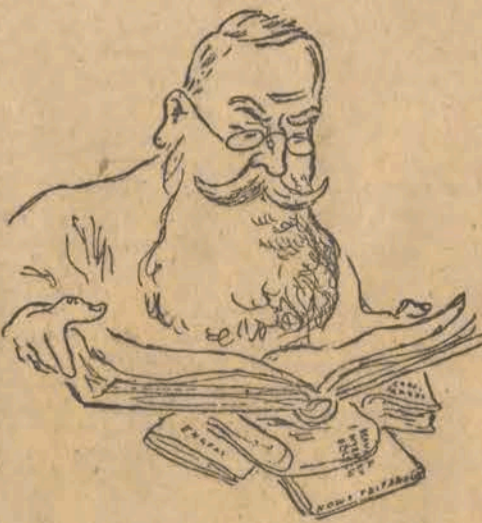
Mieczysław Jastrun



Adam Szaff



Adolf Rudnicki



Stefan Żółkiewski



Adam Ważyk

KORESPONDENCJE

Do Redaktora „Kuźnicy”!

Któż z nas nie zna fotografów z małych miasteczek, dorabiających na żądanie wąsy i rumieńce, sadzających nas do wymalowanych na płótnie łódek samolotów lub usuwających siwizną z naszych skroni jednym pociągnięciem umazanego w użsu pędzela!

Któż nie zna tych najbardziej uspołecznionych pracowników sztuki, „zespółow” przykładających się do tego, aby nasz indywidualny wygląd — dzieło przypadku i braku koordynacji zabiegów naszych z zabiegami natury — odżyłską pełnił swęj rasy, służąc jako rodzinna pamiątka dzieciom, wnukom i dalszym spadkobiercom!

Mój artykuł o wierszach Stachowskiego, drukowany w ostatnim numerze „Wsi” musiał na redaktorze J. A. Królu sprawić w ostatniej chwili przed wydrukowaniem wrażenie takiego wymagającego retuszu produktu obiektywów, pamiętających czasy młodości Franciszka-Józefa i Królowej Wiktorii. Postanowił dorobić memu artykułowi brodę i wąsy, parę zdań bezlitośnie skrócić i okulać. Tam gdzie napisałem „Ożoga” dodał „i Frasiaka”, na końcu zaś umieścił taki zespół złotych myśli, które wątpię, czy potrafiłbym kiedykolwiek zamknąć w równie lapidarniej formie:

„Sielskość w znaczeniu ciepła uczuciowego, delikatności, może sentymentalnej dobroci są to produkty, jakie wytwarza atmosfera kół młodzieży w przeciwstawie do brutalnej, często bandyckiej „kawalerki” wiejskiej. W rozwoju historycznym — musi trzeba — być zrozumieć i docenić ten klimat. Ład, praworządność, o-

bowiątkowość to są wartości, które w młodym pokoleniu realizują się poprzez sentymentalne sprzyjanie, inaczej zatem, niż w Czechach np., gdzie czynnikiem spajającym bywa oświecone wychowanie, ale myśmy ani szkoły niemieckiego pedantyzmu nie przeszli, ani uprzemysłowienia wsi”.

Co do Frasiaka gotów jestem się zgodzić, ponieważ nieogłędne wymiowanie samego Ożoga — to gaffa, a Ożóg i Frasiak to tak jak Lelum i Polelum, albo Flip i Flap. Natomiast wspaniały skrót myślowy w ustępie dodanym na końcu stanowczo czyni zbyt wiele zaszczytu memu artykułowi, toteż nie chcąc być posądzony o ubieranie się w cudze piórka, oświadczam, że ma się on do mnie tak, jak malowany na płótnie samolot do wychylającego się z jego wnętrza jegomościa w tużurku fotografującego się podczas niedzielnego spaceru.

Stefan Matuszewski

W związku z notatką zamieszczoną w Nr 17 „Kuźnicy” z dnia 23.12. 45 pt. „Co na to „Społem” uprzejmie wyjaśniamy iż Związek Gospodarczy „Społem” w 1942 roku prowadził tylko Dział Wydawnictw spółdzielczych. Jeżeli idzie o prace Instytutu Wydawniczego nie możemy ponosić żadnej odpowiedzialności, ponieważ była to samostanna spółdzielnia nie mająca nie wspólnego ze Związkiem gospodarczym „Społem”.

Podając powyższe do wiadomości — pragniemy o zamieszczenie niniejszego sprostowania w najbliższym numerze „Kuźnicy”.

„Społem”

PORTRETY UROJONE

Rys. Władysław Duszewski

